Przyjaciel Ludu.

ROK SIODMY. No. 2. Leszno, *dnia* 11. *Lipca* 1840.

Życie Jędrzeja Sniadeckiego

przez

Michała Balińskiego.

(Dalszy ciąg.)

Uwieńczywszy nakoniec prace swoje w Pawii uroczystém otrzymaniem w dniu 16. Maja roku 1793. stopnia doktora medycyny i filozofii, postanowił Sniadecki udać się do Paryża, celem wysłuchania kursu chemii pod Foureroy, i wyćwiczenia się w chirurgii (1). Ale nieprzełamane trudności stanęły temu na przeszkodzie. Francya wstrząśniona wówczas z swych posad, zamkniętą była dla spokojnych prac umysłu, niebezpieczną dla tych, co się dostać chcieli do wzburzonego jéj wnętrza. Jednakże niezrażony przeciwnościami, umyślił probować, azali mimo wszelkich zawad nie uda mu się dostać do Paryża. Pojechał więc do Genui, zkąd za pośrednictwem tamtejszego sprawującego interessa francuzkie, i pomocą professora paryzkiego Cousin, któremu go brat starszy polecił, zamierzył udać się przez Nizzę i Marsylią do stolicy Francyi. Lecz i to dla coraz strasznieszych wstrząśnień w tym kraju, spełzło na niczém; a gdy znowu morzem z portu genueńskiego niepodobna było puszczać się do Anglii, wśród ciągłych napaści i bitew między okrętami różnych narodów, Sniadecki zmuszony został szukać dłuższą drogą sposobu dostania się, już nie do Paryża, ale do Edymburga. Niełatwo i to było wykonać w owych niespokojnych latach, kiedy zarżewie okropnéj wojny niszczyło pograniczne Niemiec i Francyi krainy. Ciekawość jednak widzenia zachwycających brzegów Renu, przemogła nad niebezpieczeństwem podróżowania wśród działań wojennych. Jędrzéj Sniadecki opuściwszy Genuę, udał się przez Szwajcaryą, gdzie w Bazylei czas niejaki pozostał, nad brzegi Renu. Zwiedził Frankfurt i Moguncyą, ztamtąd popłynął do Kolonii, a potém przejechawszy Niderlandy, bawił w Bruxelli, i nakoniec przez część Hollandyi dostał się do Ostendy portu, z którego dopiero można było popłynąć do Duwru (2). Jakoż 13. Sierpnia 1793. po południu siadł na okręt, zajęty jedynie miłą dla siebie nadzieją rychłego korzystania ze skarbów, jakie sławna szkoła naówczas, jak i dotąd, co do sztuki lekarskiéj w sobie zawierała. Wszakże przeznaczenie mało co inaczéj losem jego nierozrządziło. Okropna burza powstała w nocy na morzu. Statek był holenderski przewozowy, dosyć zużyty, kapitan stracił głowę, i już się podawał rozpaczy: ale szczęściem sternik, więcéj zimnéj krwi i doświadczenia mający zdołał uhamować fale, i pomimo kilkunastu godzin wciąż trwającéj nawałnicy, pomyślnym zwrotem okrętu uszedł nakoniec niebezpieczeństwa. Żegluga jednak trwała dni kilka, bo statek długo kołatany, zaniesiony został aż ku brzegom Danii, zkąd nie do Duwru, ale do portu *Heringsfang* pod Jarmouth ledwo zawinąć potrafił.

Krótki był w prawdzie pobyt Jędrzeja Sniadeckiego w Londynie, ale przyjemny i nie bez korzyści dla młodego wędrownika. Bukaty, rezydent ówczesny polski w Anglii, a przyjaciel starszego brata, ułatwiał mu z nadzwyczajną uprzejmością oglądanie i poznanie wszystkich osobliwości téj olbrzymiéj stolicy Wielkiéj Brytanii, a nadewszystko zakładów ściągających się do nauk lekarskich. Tym sposobem Sniadecki widział tyle w przeciągu kilkunastu tygodni, ileby drugi może w rok niezdołał obejrzeć. Bukaty wprowadził go do domu posła szwedzkiego, z którym był w wielkiéj zażyłości. Ten upodobawszy sobie wdzięcznéj postaci i wesołego dowcipu młodzieńca, odkrył w nim jeszcze jednę zaletę, to jest łatwość pisania po angielsku. Sniadecki bowiem odebrawszy z przyrodzenia nadzwyczajną zdolność do języków, miał zręczność przez dwa lata mieszkania swego w Pawii, wyuczyć się dobrze po angielsku. To było powodem, że go oba przyjaźni sobie ministrowie użyli do pisania różnych artykułów w gazecie pod wpływem ich będącéj. Wszystko co wyszło z pod pióra Jędrzeja, tak humorystycznym dowcipem było zaprawne, i tak dotkliwie trafiło do celu, że powszechną prawie

(1) Jędrzéj Sniadecki rozumiał, że dostawszy się do Paryża, mało co miał do robienia pod względem medycyny, zamierzył więc głównie doskonalić się w chirurgii, chemii i historyi naturalnéj, które we Francyi naówczas kwitnęły, obok matematyki, przed innemi umiejętnościami. „Gdybym się miał uczyć chemii, nie wątpię (pisze do brata w liście z Genui 6. Czerwca 1793. datowanym), iż pracując z usilnością mógłbym w krótkim czasie znaczne zrobić postępki, gdyż miałem okazyą w Pawii tyle się jéj uczyć, ile mogło wystarczyć do dania mi dokładnego wyobrażenia o teraźniejszym stanie téj nauki. Więcéjby mnie nierównie kosztowała nauka historyi naturalnéj. Chirurgia nie jest rzeczą ani nową, ani trudną dla medyka, potrzebuje tylko wprawy i oka.“

(2) List do brata datowany dnia 13. Sierpnia 1793. z Ostendy.

zwróciło uwagę, a między osobami, których to bliżéj obchodziło, stało się przyczyną wielkiego ruchu. Rychły wyjazd Sniadeckiego do Edynburga, przeciął ślad usilnego poszukiwania autora tak satyrycznych artykułów.

Wzrosła już była wówczas do wysokiego stopnia sława szkoły głównéj edynburskiéj, która właśnie w filozofii i sztuce lekarskiéj najpierwszych uczonych w Europie wydała. Dopełnił w niéj w dwuletnim także kursie tego zasobu wiadomości lekarskich, jaki potrafił zgromadzić we Włoszech; i tam biegły już w klasycznéj mowie Rzymian, znawca języka włoskiego jak Włoch rodowity, nabył nadzwyczajnéj biegłości w mowie angielskiéj, i rzucił pierwsze zarody gienialnych pomysłów późniejszego dzieła swego: *Teoryi jestestw organicznych*, w łacińskim języku. Tu pod najznakomitszymi w sztuce lekarskiéj mężami, ćwiczył się z nieporównanym zapałem Jędrzéj Sniadecki; a jak wprzódy we Włoszech umiał zjednać powszechną miłość i cześć dla swych zdolności, równie między nauczycielami jak i uczniami, tak i w Edynburgu mistrzowie stali się jego przyjaciółmi, spółuczniowie wielbicielami. Grekory, Monroe, Duncan, same czoło uczonych szkockich, przyjęli go uprzejmie, a bliżéj poznawszy, do codziennego towarzystwa rodzin swych przypuścili, udzielając wiadomości, rad i pomocy naukowych, nie tylko z katedry, ale w zaciszu bibliotek swoich (3). Pobyt téż Sniadeckiego w Edynburgu, przyczynił się najwięcéj do usposobienia go na prawdziwie wielkiego lekarza. Nauki nabywane od tak sławnych professorów, pracowite czytanie najważniejszych dzieł medycznych w angielskim języku, i nieograniczona praktyka w szpitalach edynburskich pod przewodnictwem takich mistrzów, rozwinęły w nim zaród wielkiego gieniuszu, którym go przyrodzenie uposażyło, i postawiły na stopniu wysokiego udoskonalenia. Kiedy się z taką usilnością i pożytkiem Jędrzéj Sniadecki oddawał naukom lekarskim na wyspie W. Brytanii: tymczasem brat starszy Jan, ucieszony postępami młodzieńca, przemyśliwał nad przyszłym jego losem. Sława jego naukowa i poważanie na dworze Stanisława Augusta, miały dla Jędrzeja wyjednać zawód zaszczytny i korzystny. Bekler, nadworny lekarz królewski, dla podeszłego wieku zamierzał opuścić obowiązki swoje, a król skłaniał się dać miejsce Beklera Jędrzejowi Sniadeckiemu. Już prawie wszystko było ułożone, gdy wtenczas właśnie zaszłe niesnaski między Prymasem, samowolnie nadwerężającym przywileje Akademii krakowskiéj, a Janem Sniadeckim, gorliwym ich obrońcą, stanęły wszystkiemu na przeszkodzie. Prymas stanowczo oparł się nowéj nominacyi, późniejsze wypadki zniweczyły nadzieję nawet jakiegokolwiek publicznego zawodu. Wszakże uprzejma życzliwość poczciwych Szkotów, nastręczyła wkrótce Jędrzejowi Sniadeckiemu nową drogę więcéy uśmiechającą się, bardziéj ponętną dla młodego umysłu, a może nawet świetniejszą od pierwszéj. Kompanija wschodnio-indyjska potrzebowała kilku zdolnych medyków do główniejszych miast w krajach, władzy swojéj podległych. Mocne przywiązanie do własnéj ziemi i brata, odwiodło jedynie Sniadeckiego od zamiaru puszczenia się do Indyi, gdzie za pomocą sławnych medyków Gregory i Monroe, tudzież innych przyjaznych Szkotów, uczyniono mu pewną nadzieję prędkiego osiągnienia sławy i znacznéj fortuny.

Po tak korzystnie spędzonym czasie w uniwersytecie edynburskim na dwuletniém prawie słuchaniu nauk, dawanych przez najsławniejszych uczonych swego wieku; zwiedziwszy północną i środkową Anglią, przybył Jędrzéj Sniadecki na wiosnę r. 1795. do Londynu, gdzie znowu powtórnie kilka miesięcy zabawił. Niemogąc zaś tak jak i pierwéj przedrzeć się do Paryża ciągle zawichrzonego; żeby więc poznać z dokładnością wszystko to, co było znakomitszego między szkołami lekarskiemi i uczonymi medykami w Niemczech, udał się z Holandyi prosto do Wiednia. W tamtejszéj Akademii lekarskiéj, głośno wówczas inne niewielkie szkoły przechodzącéj, zbiorem sławnych nauczycieli i wielkiemi zakładami, blisko przez cały rok pomnażał jeszcze, nabyte gdzieindziéj z taką pracą wiadomości. Obserwacyą i praktyką wzbogacając w stolicy Austryi, wyrobioną w sobie tylu trudami i tyloletnią podróżą naukę, oderwany nakoniec został od ulubionych sobie zatrudnień, widokiem zaszczytnego i odpowiedniego tak wielkiemu usposobieniu zawodu. Odrodzona w owéj epoce, z przestarzałych form i nauk szkoła główna litewska, ale znowu przeciwnościami krajowemi znękana, chciała się dźwignąć, przyswajając do grona akademickiego, ludzi świadomych nowego systematu instrukcyi publicznéj w obcych krajach, i z talentów zaczynających słynąć. Pierwszym z nich właśnie był Jędrzéj Sniadecki. Nim się jednak wybrał na miejsce przeznaczenia, wezwany o pomoc lekarską do kilku znakomitych domów na Wołyniu, postanowił drogę swą do Litwy, na ten kraj obrócić. Tymczasem przed samym wyjazdem z Wiednia wstrzymany został przybyciem do téj stolicy brata swego Jana, który wspólnie z X. Bogucickim miał u cesarza Franci-

(3) Monroe był prosty i gruby człowiek, pomimo swéj ogromnéj nauki, ale miał poczciwe serce i wielce sprzyjał Sniadeckiemu. Kiedy ten przyjechawszy do Edynburga, pierwszy raz przyszedł do tego uczonego professora, Monroe, przeczytawszy list rekomendacyjny, rzekł: „WPan więc jesteś Mister Snedin! Ta familia u nas w Szkocyi bardzo jest znajoma.“ Sniadecki naśmiawszy się serdecznie, długo musiał uczyć pana Monroe, jak się wymawia jego nazwisko, i że on wcale nie należy do żadnéj rodziny szkockiéj.

szka ważne sprawiać poselstwo w imieniu Akademii krakowskiéj. Krótko jednakże nacieszywszy się obecnością drogiego sercu swemu opiekuna, opuścił ostatecznie Wiedeń w Lutym roku 1796. Po drodze wstąpił do Żywca, ażeby raz jeszcze złożyć hołd wdzięczności za macierzyńską troskliwość margrabiny Wielopolskiéj, z jaką czuwała w dniach jego młodości, żeby jéj okazać jak świetne odniósł korzyści w zawodzie, do którego wszedł jedynie słuchając rady jéj życzliwych upomnień. Na długo już opuszczał te strony Sniadecki, unosząc miłe wspomnienia lat ubiegłych wśród słodyczy prac naukowych, i szlachetnych rozrywek na łonie przyjaźni. Na długo! tak mniemał, ale i Kraków, i wszystko, co tam było dlań miłego, opuścił nazawsze. Jędrzéj Sniadecki nigdy już do tych miejsc niepowrócił.

Przejeżdżając Galicyą, zatrzymał się nieco dla poznania Lwowa, zkąd już prosto udał się na Wołyń. Tam wśród zatrudnień powołaniu swemu właściwych, przypadek, o którym nieraz wspominał, nastręczył mu ważną a niespodzianą i nader rzadką w krajach naszych praktykę lekarską. Spotkał się trafunkiem z zarazą morową, która pod nazwaniem *Dżumy* wkradła się była w roku 1797. aż na Wołyń. Szczęściem, ostrością klimatu i spiesznemi środkami od rządu użytemi, straszliwa ta plaga przeciętą i zniszczoną została. Wszakże Sniadecki napadłszy po wśiach na chorych tego rodzaju, leczył ich z odwagą, a nawet z wewnętrzną radością, że mu się taki przypadek nadarzył, który do oświecenia go i rozwinięcia nabytych w medycynie wiadomości dziwnie posłużył. Zaciągnienie kordonu zdrowia między Litwą a Wołyniem, o czém się dowiedział po przybyciu swojém do Wilna, przekonały go, że się nie mylił w poznaniu téj straszliwéj choroby. (4)

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Pamiątki z Krakowa.

Konik zwierzyniecki.

Co kraj to obyczaj, co ziemica to inne podania i inne historye umilają długie wieczory wieśniaków, inne pamiątki walają się w rozwalinach zatartych i potłuczonych, lud opowiada wiele, a uczeni szeroce niekiedy rozpisują się o nich. Jeżeli w ich opowiadaniu zachodzi różnica, nie zawsze da się z pewnością wyrzec, tu jest prawda, a nie tam. Gdzież jednak więcéj pamiątek, podań ludu i pomników, które nadaremnie usiłowali zniszczyć i czas i ludzie, jeżeli nie w krakowskiéj ziemi, nie nad brzegami Wisły. Gdy zwiedzając zamek krakowski staniesz zadumany nad otworem czarnéj jaskini, wśród skał starego Wawelu, od starca wieśniaka, do chłopca co tam rzuca kamyki, usłyszysz, że to jaskinia smoka, że to był książe krakowski, który go zabił i uwolnił lud od haraczu i klęski, a na drugim brzegu Wisły pokaże ci jego mogiłę, nazywając ją mogiłą Krakusa. Jeżeli wstąpisz na puste i strome Krzemionki, gdzie żaden krzak nie rośnie, jeżeli zagłębisz się w skalistą dolinę, pastuch cię zapewni, że jesteś w szkole pana Twardowskiego, wielkiego czarownika; opowie ci jak go szatany niosły po nad wieżę maryacką, lecz na odgłos godzinek do N. P. Maryi, które zaśpiewał w ostatniéj rozpaczy, puściły swoją zdobycz u wrót piekła. Zaledwie słońce nachyli się ku zachodowi, a trzody znikną z pośrodka skał, i pozostaniesz sam z dziką powiastką, jak z wydartą kartką z ciekawéj dla ciebie księgi, — idź brzegiem Wisły i odwiedź Skałkę, (kościół i klasztór nad Wisłą), lud ci pokaże sadzawkę, gdzie wrzucono święte kości Stanisława, pokaże ci krew męczennika na ścianie, i w ustach ludu posłyszysz imie Bolesława śmiałego; a przy mogile Wandy dowiesz się od żniwiarek, czyja to mogiła, — lecz i historya więcéj ci nic niepowie.

Jednak pomiędzy pamiątkami obchodzonemi przez lud, najwięcéj zajmującym jest konik; podanie ludu mówi o nim z pewnością, i tak wiele jak sami uczeni historycy. Otoż jego opowiadanie; przesełam ci je nietknięte, jak słyszałem z ust starych Włóczków, ludzi, którzy grają główną rolę w téj scenie pamiątek, i którzy mają na to przywileje (1) podpisane ręką królów polskich.

Byłoto w oktawie Bożego Ciała, niewiadomo którego roku, bo lud wcale oto nie dba, zapewne za panowania Bolesława Wstydliwego, jak zapewniają uczeni, w murach Krakowa brzmiały dzwony uroczyście, lud szedł śpiewając za processyą, a pancerni towarzysze wmięszani pomiędzy gmin, korne zasyłali modły przed ołtarzem na odgłos śpiewu Ewangelii, gdy nagle przeciągły i płaczliwy głos dzwonów zwierzy-

---

(4) L e r n e t w dziele swém uczoném: *Dissertatio de peste. Cremeneci* 1814, *str.* 38., o téj saméj zarazie wspomina: „Miasma pestilens prima sui rudimenta anno 1787 inter oppida Mohilow et Jampol jecit, pluresque pagi ob non impeditam communicationem, et commercium cum Turcis liberum, peste correpti sunt. Tandem ultimis diebus Julii anni 1797 pestis in oppido Satanów sedem fixit, quae propagata in urbem Szarogrod et Lanckrona, anno domini 1798 in Volhyniam translata fuit.“ Pokazuje się jednak, że jeszcze w 1797. r. z tąż zarazą Sniadecki spotkał się na Wołyniu.

(1) Włóczkowie (defluidatores) tak nazwani w przywilejach potwierdzonych przez Augusta III. i Stanisława Augusta. Cech ten od dawna exystował w Krakowie na Zwierzyńcu, ponad Wisłą, trudnił się spławem drzewa do żup wielickich, dla króla i miasta. Jednego z nich obierają konikiem na całe życie, składają u niego buławę i wszystkie ubiory tatarskie.

nieckich(2) zagrał nad Wisłą; było to znak trwogi i popłochu, lud wiejski cisnął się w bramy, z ich twarzy, odzienia i przestrachu, wszystko odgadli mieszkańce Krakowa. Tatary niedaleko miasta! oto była wieść krótka i straszna, jak urwany jęk człowieka uderzonego pociskiem wroga; jedni schronili się do domów, inni cisnęli się do stóp ółtarzy; zamknięto bramy miasta, i nikt nie śmiał nawet z rycerstwa wychylić się za mury. Chwila trwogi ciężała nad miastem jak chmura brzemienna piorunami, lecz takie chwile rodzą ludzi wyższych nad tłumy; jeden z włóczków wybiega, porywa najbliższą chorągiew, staje w pośrodku rynku, zwraca się ku stronie, gdzie widno dymy palących się wiosek i okrył ją krzyżem świętym, jak mówi wieszcz krakowski:

Przypadł Włóczek ze Zwierzyńca,
Rękę podniósł w górę;
Jak gdyby chciał zażegnywać
Piorunową chmurę.
Za mną bracia! na tych zbójców,
Niechaj zginą marnie;
Nie dozwólmy ziemi naszéj
Najeżdżać bezkarnie. (3)

Krzyknął na braci, a wnet Włóczkowie i zbrojne tłumy ścisnęły się około niego, a on:

Na wiatry czerwoną chorągiew rozwinął,
A z chorągwi orzeł, jak Anioł wypłynął.

I wypadli za miasto, a lud pozostał w mieście z nadzieją i z trwogą, aż pod wieczór stęskniony wieżownik daie znak trwogi; pod miasto tłoczą się kupy Tatarów, lecz w krótce trwoga zamienia się w radość, to byli zwycięzcy, ubrani w odzież tatarską. Przez otwarte bramy cisną się hufce do miasta. Jak dziwny to był obraz! żony, matki, kochanki i starzy ojcowie witają, ściskają i prowadzą do siebie jakoby dzikich Tatarów, bo wojownikom polskim dobrze było przy kołczanach tatarskich, i na ich bystrych rumakach; spokój wrócił do miasta, i świecił nad miastem jak błękit czystego nieba, a na wieczną pamiątkę co rok w oktawie Bożego ciała jeden z familii Włóczków, po skończeniu processyi, harcuje na tatarskim bachmacie, strasząc lud udaną buławą.

O gdybyś wiedział, jak ta chwila żywo przypomina prawdziwą scenę trwogi, i z jaką mocą nakazuje ślepo wierzyć to, co lud z prostotą zapewnia. Zaledwie się skończy processya, gdy ten lud cichy i pokorny, wzrusza się, leci, tłoczy, a wszyscy w tę stronę, którędy pobiegli waleczne Włóczki walczyć z hordami Tatarów. Wielka chorągiew i cztery małe proporce wyprzedzają lud, aby powitać konika, któren ich oczekuje pod murami zwierzynieckiego klasztoru: siedzi on na udanym tatarskim koniu, ubrany jak han wielkiéj hordy, trzyma w swéj ręce buławę, postrach ludu. W krótce prowadzą go w tryumfie do pałacu Biskupa, tam poharcowawszy trochę, odbiera butelkę wina i pieniądz złoty, jak gdyby haracz od miasta, a potém wracając do klasztoru, wybiera znowu podatek w pieniądzach i winie, jak gdyby mszcząc się na téj twierdzy Jaxy Gryfa, że pierwsza ostrzegła miasto o zbliżeniu się jego hordy. Nareszcie zaczyna się straszliwy popłoch, konik wpada w tłum, biada wam fraczkowi eleganci. On ich wszędzie wyśledzi i ściga, wtenczas, gdy kapoty i kontusze stoją i śmieją się bezpiecznie; szybkość jego jest zadziwiająca, zdaje się, że na prawdziwym harcuje koniu; nadaremnie ścigany elegant usiłuje uciekać, nigdzie nie znajdzie schronienia, wszystkie baryery zwinny konik przeskoczy; jeżeli obierze sobie za obronę grubą massę ludu, nadaremnie!... Zuchwały konik podnosi swoją buławę, tłum pęka, jakby dotknięty laską czarownika, a biedny elegancik czuje na swoich plecach twarde razy grubéj buławy.

Lecz przypatrz się lepiéj kopii obrazu konika, ręką Michała Stachowicza(4). Patrzaj! oto chorągiew z białym orłem, chorągiew Włóczków, postępuje naprzód otoczona czterema małemi chorągiewkami, jako znak husarski między proporcami szeregowców: przed nią idzie muzyka złożona z trąb, basów, skrzypców i bębnów, i za nią sto szlachty z rusznicami przy karabelach; otóż tam w dali konik wpośród kurzawy: widzisz, jak zażarcie ściga ubranych z cudzoziemska; daremnie usiłują uciekać; widać jak tłumy rozstąpiły się, a konik już ich dościga.

Uważajmy teraz myśl autora, — jak on zręcznie i szczęśliwie poskupiał te różnobarwne tłumy; patrz, jak pomiędzy natłokiem naszych przodków w kontuszach i w kapotach, z krzywemi szablami i wąsami staropolskiemi, na których twarzy maluie się prostota, szczerość i męstwo, jak śmiesznie i sprzecznie odbijają wychudłe i chytre twarze cudzoziemców, jak ich cieniutkie a zdradliwe szpady, obok krzywych kordów i karabel. Uważasz, jak ten szlachcic zagapił się, patrząc przez szkło na ten obrządek, w jego twarzy jaśnieje poczciwość i prostota, a z tyłu rzeźimieszek cudzoziemiec, lub który się nim zrobił, wyjmuje mu zręcznie mieszek i chustkę.

Patrząc na tyle twarzy z tylu odmianami rysów, wyrazu i charakteru, zdaje się, że słychać wrzawę ucieszonego ludu na widok klęski i

(2) Klasztór i kościół piękny na Zwierzyńcu, na skałach nadwiślańskich, niegdyś był obronną warownią, dzisiaj zamieszkany przez zakonnice, fundowany był przez Jaxę, herbu Gryf, gdy powrócił z wyprawy palestyńskiéj: wszystkie filary w kościele są nakształt wyniosłych palm i jego posąg stoi w kościele.

(3) Wiersze te są przytoczone z poezyj Edmunda Wasilewskiego, Tom I, Poznań 1840.

(4) W sali jagiellońskiéj i biskupim pałacu znajduje się najwięcéj i najpiękniejszych dzieł Michała Stachowicza.



Konik zwierzyniecki, podług obrazu M. Stachowicza.

popłochu fraczkowych Jegomości, i niedziw się téj antypatyi tajemnéj ludu do tego ubioru, prostota niewidziała go dawniéj, jak tylko na obrazach, które wyobrażały djabła; nienawidząc i lekając się szatana, lud powziął nienawiść i do ubioru, a następnie i do tych, co go noszą. Jakież jego musiało być zadziwienie, zgroza i gniew, gdy zobaczył własnych panów i obywateli, ubranych w te dziwne, a u nich przeklęte stroje. Konik też nie mając więcéj do płoszenia Tatarów, sprawiedliwie uderza na tych Jegomości, gorszych jeszcze od wielkiéj hordy Perekopców, a tak podobnych z ubioru do nieprzyjaciela dobrych Chrześcian, owego demona, alias djabła, nie ma więc dla nich żadnego miłosierdzia, szanuje jednak kobiety i dzieci. Laufry uliczne stanowią jego niezwyciężoną armiję. Gdyby jednak ktoś z cudzoziemska ubrany, ścigany od konika, chciał mu stawić opór, poległby lub pod kamieniami, lub by też zginął dawniéj rozsiekany od krzywych szabel towarzyszącéj mu szlachty. Wara!.... albowiem naruszać pamiątki, które się dla ludu stały święte!.... Obrządek ten odbywa się corocznie do dziś dnia. Nasz poeta tak o nim mówi:

W tatarskiém ubraniu, na tatarskim koniu,
Przypatrz się jak Włóczek harcuje po błoniu,
Jak wtedy harcował, do dziś dnia harcuje;
Bo pamiątkę jego, każdy z nas szanuje,
Każdy z nas szanuje, a kto się zapiera
Pamiątki swych ojców, tym wiatr poniewiera.

Z resztą przypatrz się temu słońcu co zachodzi, to jest nasze słońce, idzie sobie spać za górę Ś. Bronisławy, musi ci być bardzo przyjemnie wpatrywać się w jego łagodne promienie, bo ogniste słońce Rzymu dopiekło ci już zapewne.

(Dalszy ciąg późniéj nastąpi.)

Marcin Kaptur.

Szkic historyczny z XVI. wieku przez J. J. Kraszewskiego.

(Ciąg dalszy.)

„„Chłopem! on WMość chłopem śmiał nazwać!“ krzyknął pan Sławek,“ uniesiony gniewem. „„A dajcież mi szablę! a pójdziem; już my go nauczymy, co chłop, a co szlachcic!““ I tu rozpuściwszy poły kontusza, począł po izbie latać pan Sławek. Dobrze bowiem trafił pan Marcin, naprzód do niego, jako do sąsiada pana wojewody, który z nim ciągle darł koty i siedząc na kilku zagonach, lękając się najazdu i przemocy magnata, pałał ku niemu najsroższą nienawiścią.

„„Hej! konia no tam siodłajcie!““ wołał pan Sławek; „„mego siwo-jabłkowitego! pojedziemy! jedźmy! Chłopcze, daj tu pasa! Maciek, pasa! bóty, szablę!““ I wołał, i biegał, i odziewał się co prędzéj.

„Czekaj, czekaj,“ rzekł pan Marcin; „we dwóch przecie na wojewodę nie naskoczym, boby nas zdespektował; trzeba nam jechać do przyjaciół i jutro dopiero zajechać mu drogę w dobrym poczcie. Bo jutro on wyruszy do Warszawy! Dopieroż go tam spytamy wszyscy, czego mnie nazwał chłopem, kiedy widział u mnie szablę u pasa. Pokażę ja mu, com za chłop, aż mu jego senatorstwo pójdzie gardłem nazad. Niechaj się obejrzy na swój herb! Co mi za herb jakiś nowotny, i pierwszy to senator tego herbu i imienia!“

To mówiąc Kaptur, chodził i zżymał się.

„Zacny herb Drogosław! Kto słyszał o tym herbie? Lepszać moja Belina!“

„„O! i jak lepsza,““ odpowiedział pan Sławek, „„aleć my go nauczym i nie damy sobie w kaszę dmuchać. A jeźli go Waszmość weźmiesz na naukę w swoje ręce, (dodał), to wcześnie posłać trzeba na exekwie do Płocka i niech mu katafalek stawią!““ To mówiąc, krzątał się po izbie i ubierał, tymczasem pani Barbara kazała dziewce podać miodu i dwa kubki. Szlachta ledwie miodu się dotknęli, na panią Barbarę i okiem nie rzucili, a całkiem sobą i wypadkiem zajęci, wypadłszy z izby, dopadli koni i ruszyli.

„„A dokąd pojedziem,““ spytał pan Sławek, któremu towarzyszyło kilku ludzi na tęgich koniach.

„Jedźmy do Wulki,“ rzekł Brzozowski, „do pana Macieja; u niego zawsze biesiada i dużo gościa; tam, co znajdziem szlachty, to ich zabierzem z sobą na jutrzejszą wyprawę.“

To mówiąc, puścili się kłusem przez pole; a była już noc ciemna, ale konie i panowie dobrze drogi znali. Jechali tęgą godzinę, aż pokazały się światełka w wiosce i na pagórku z drzew kilka okien oświeconych zaświtało, zwiastując dwór pański.

„Dobra nasza!“ rzekł Kaptur, „świeci z okien, zastaniem braci szlachtę.“ Tu na nowo podciąwszy konie, puścili się błotnistą ulicą ku dworowi, potém grobelką drzewami sadzoną, mimo karczmy, i wpadli w dziedziniec, na którym było siła czeladzi i gwar wielki.

Otworem stały drzwi od sieni, przez które buchał gwar, z rozmaitych głosów złożony, śpiewów, krzyków, łajania, śmiechu, brzęku i t. d. Kilka kobiet widać było na przeciwko, tulących się bojaźliwie i spoglądających przezedrzwi do sieni, gdzie podpili słudzy, czerpiąc piwo konwiami z beczki, grali w kości, śmiali się i rozmawiali.

„Otóż ktoś jeszcze przybywa,“ odezwała się podeszła niewiasta z cicha; „jacyś jeszcze zawadyje, co natłuką tu, napiją i pojadą, nakresowawszy sobie pysków.“

„„To Kaptur Brzozowski,““ odpowiedziała druga; „„nie obejdzie się bez szabel i poswarku!““

„A drugi z nim pan Sławek,“ rzekła inna;

„i ten dobry do wypitéj i do wybitéj. Tydzień temu, nie więcéj, poobcinał uszy komornikowi pana cześnika, że mu coś niezdarnego odpowiedział. Takiemu młodemu chłopięciu! Aż żal było patrzeć, jak go okrwawił!"

Gdy się ta rozmowa toczy, naśi wpadli do izby, gdzie głośna brzmiała biesiada.

„Ha! ha!" zawołano, „dawaj tu kielicha! hej! witajcież WMpanowie! A zkądże to tak późno to mi szczęście zdarzyło! Hej sam wina piwniczy! hej!"

Inni witali także.

„A Kaptur! jak się WM. macie?"

„Sławek! Bóg z wami, czyście zdrowi?"

„Prze zdrowie wasze! panie Brzozowski!"

„Witajcie nam panie Marcinie!"

„Jak się ma pani Barbara?"

„Niech cię uściskam Sławku! bodajcie z twoją charcicą! hę?"

Pijani dobrze szlachta witali, wołali, krzyczeli, wyciągali ręce, zajęci przybywającymi gośćmi.

„Ja ani usiądę, ani wypiję!" rzekł Kaptur, „póki mnie Waszmość nieposłuchacie! Jestem skrzywdzony! okropnie skrzywdzony!"

Tu runęły ławy, szczękły kielichy, zabrzęczały szable, jedni przez drugich się powychylali, niektórzy na ławy, inni na stół nawet powłazili.

„Co? jak? kto? gdzie? bij! zabij! Jakiżto łotr! Cóżto za bestya! Uszy mu poobcinać! A czemuś go nie zdusił! Dajcie go tu! Kto się ważył?"

„Słuchajcie Waszmość," odpowie Brzozowski, „i nie ja jeden, ale wy wszyscy jesteście skrzywdzeni, i wy wszyscy powinniście mi pomódz do zemsty! Godzin temu ledwie kilka, na drodze od Płocka, spotkałem pana wojewodę jadącego do siebie. A gdym go niepocześnie ubrany, tak jak tu stoję, mijał, śmiał mnie w głos nazwać chłopem! dla tego, żem był sam jeden i licho odziany. Alem go prośił, by mi to jutro powtórzył. Jutro wojewoda jedzie do Warszawy, trzeba, żebyśmy się wszyscy szlachta zebrali, zajechali mu drogę i spytali, jakim czołem śmiał to rzec jednemu z nas? Kto z was czuje szlachecką krew w sobie, za mną panowie bracia!"

Wszyscy krzyknęli:

„Zgoda, zgoda! jedziem, jedziem! daléj! na koń!"

„Wieleż nas tu jest?" spytał Kaptur.

Policzyli się oczyma i pan Sławek ozwał się:

„Dwudziestu!"

„O, to mało," odpowiedział Brzozowski, trzeba, żeby nas więcéj było, niż wojewodzińskiego dworu. Niech będzie nas dwudziestu, a czeladzi dwudziestu z pacholęty, i tego mało! Kto z was panowie bracia łaskaw, niech rusza po szlacheckich dworach i zwoła szlachtę jak na pospolite ruszenie w obronie szlacheckiéj czci i sławy. Jutro jak godzina na dzień, zbierzemy się wszyscy zbrojno, a uczciwie odziani, wedle przemożności swéj, za karczemką pana Sławki, za borem, na warszawskim gościńcu, u mogiły kowalowéj, koło Bożéj męki."

„Zgoda! zgoda! a chłop chyba, kto nie ruszy. Do strzemienia, napijma się panie bracie wsiadanego!" A przez drzwi zawołali ochotnicy: „Hej służba! koni! podawajcie koni!"

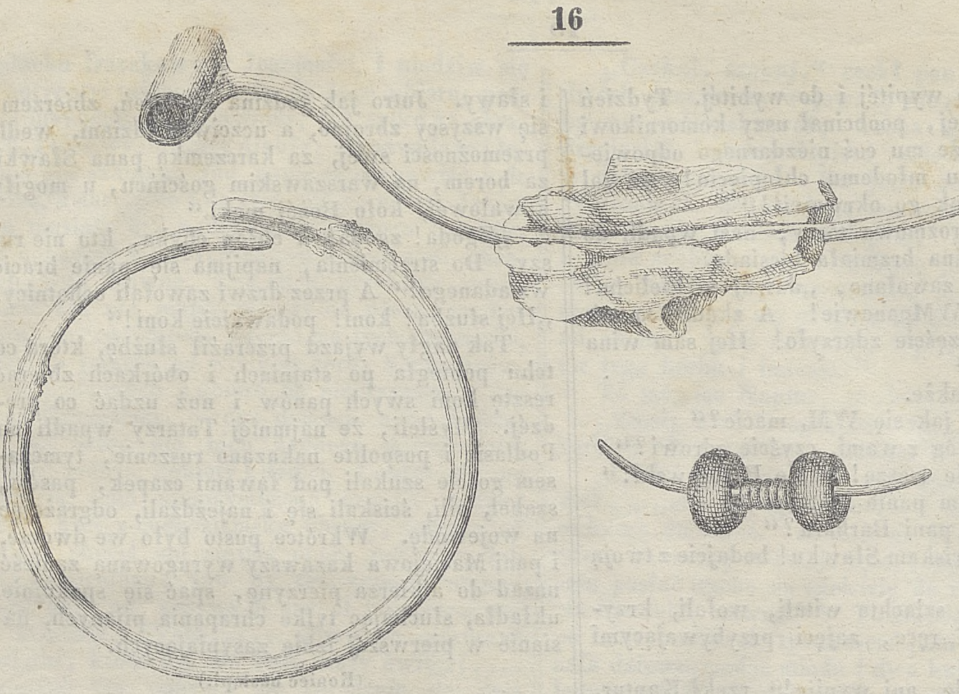
Tak nagły wyjazd przeraził służbę, która co tchu pobiegła po stajniach i obórkach zbierać resztę koni swych panów i nuż uzdać co prędzéj. Myśleli, że najmniéj Tatarzy wpadli na Podlasie i pospolite nakazano ruszenie, tymczasem goście szukali pod ławami czapek, pasów, szabel, pili, ściskali się i najeżdżali, odgrażając na wojewodę. Wkrótce pusto było we dworze, i pani Maciejowa kazawszy wyrugowaną zanieść nazad do alkierza pierzynę, spać się spokojnie układła, słuchając tylko chrapania pijanych, na sianie w pierwszéj izbie zasypiających.

(Koniec nastąpi.)

Urny znalezione w Kotowie pod Grodziskiem.

(Dokończenie.)

Wielkie popielnice przykryte są wierzchem wypukłym, z téjże samej gliny zrobionym, mającym małe ucho przy otworze. Wierzch ten najczęściéj znajduje się stłuczony; wielka to jest rzadkość, gdy się uda urnę całą z pokrywą dostać, a często bardzo i same urny są już w grobach zgniecione przywalonemi kamieniami, ocalenie ich bowiem zależy od trwałości i sztuki wybudowanego grobowca. Gdzie na ścianach jego wielki płaski kamień za wieko służy, tam z pewnością całych urn dokopać się można, byle się z ostrożnością potrzebną obchodziło. Lecz zdarzały się groby bez żadnego obwarowania, tylko urny zakopane w ziemię, a na wierzchu kamienie rozpostarte; bywały téż grobowce ocembrowane jak zwykle; lecz nie miały usypanych naokoło siebie kamieni; słowem, nie można jednostajności naznaczyć w budowie grobów, możniejsi tylko zapewne starannie je obwarowywali dobranemi granitami, a potém w szerokim obwodzie do koła rozmaitemi okładali kamieniami. Czyli na wierzchu były z ziemi usypywane mogiły, o tém dziś sądzić trudno; czas, który je na tak długie wieki zatarł z pamięci, mógł także ich ślady na ziemi zagładzić. Kości w urnach, są w drobnych kawałkach, niektóre jednak tak wydatne, że z łatwością widzieć można, do jakiéj części ciała należały; wiele także widocznie jest niedopalonych, i wszystkie są kruche, lecz wydobyte, stają się twardsze i jakby skamieniałe, zwierzęce ich bowiem części od płomieni



Przedmioty w urnach znalezione.

pożyte zostały, wreszcie dla samej długości czasu musiały ulotnieć.

Pomiędzy kośćmi znalazły się w dwóch urnach trwalsze od popiołów rzeczy, których wyobrażenie załącza się w naturalnéj wielkości. Jakkolwiek sąto drobnostki, zawsze jednak zajmującym są plonem, tém samém, że się dwoistéj sile zniszczenia oparły i ani ogniem, ani czasem, nie zostały strawione. W jednéj urnie znaleziona kość, przebita długim zagiętym żelaznym gwoździem, nie co innego okazywać zdaje się, jak że jest znakiem gwałtownéj śmierci. W innéj było kółko żelazne i reszty ozdoby od szyi; sąto dwa korale szklanne koloru lazurowego, przeciągnięte drutem tombakowym, a pomiędzy niemi przedział okręcony kilka razy takim samym drutem; rząd tych korali był dłuższy, bo się znajdowały odrobiny szkła pokruszonego. Nareszcie była w téjże urnie blaszka tombakowa w kształcie małéj rurki pogiętéj, służąca zapewne za spojenie naszyjnikowi. Widać, że kompozycya mosiądzu i miedzi powszechnie była niegdyś w używaniu, albowiem w wielu miejscach znajdywano w starożytnych grobach wyroby z tego kruszcu. Korale, pod względem ozdób w strojach, ciekawym są zabytkiem. Dodać jeszcze powinienem, że według zdania lekarza, podobieństwo jest, iż kości w téj urnie były kobiece. Coby kółko znaczyło, o tém próżne tylko domysły robić można; w tém miejscu atoli nie zdaje się potwierdzać domniemania, iż do grobu zmarłego kładziono kółka dla pamiątki, ile zwycięztw za życia na gonitwach odniósł.

Wszystkich grobów odkopanych jest do czterdziestu, z przeszło 60 popielnicami, oprócz mniejszych naczyń, na przestrzeni około dziesięciu morgów wynoszącéj; lecz, że czas nie pozwalał trudnić się dłużéj odgrzebywaniem, nie można sądzić o obszerności całego cmentarza, wiele bowiem jeszcze może być ukrytych grobów, które się w dalszém poszukiwaniu ukażą. Nie są one w żadnym porządku, lecz tu i owdzie rozsypane, w rozmaitych odstępach od siebie. Z téj wreszcie liczby odkopanych grobów wnosić trzeba, że miejsce to w starożytności było przez długi czas stałém siedliskiem ludzi w licznéj gromadzie mieszkających.

Dnia 10. Maja 1840.

Przedpłata na Przyjaciela Ludu wynosi od 1go Lipca r. b. rocznie 3 tal., czyli 18 złp.; półrocznie 1 tal. 15 sgr., czyli 9 złp. Wszystkie król. urzędy pocztowe i księgarnie, upoważnione są do przyjmowania przedpłaty. Exemplarzy z trzeciego, czwartego, piątego i szóstego roku, dostać jeszcze można za dawną cenę, to jest po 2 tal. 15 sgr., czyli 15 złp.

Leszno, dnia 11. Lipca 1840. *Ernest Günther.*

Nakładem i drukiem Ernesta Günthera w Lesznie. (Redaktor: J. Łukaszewicz.)